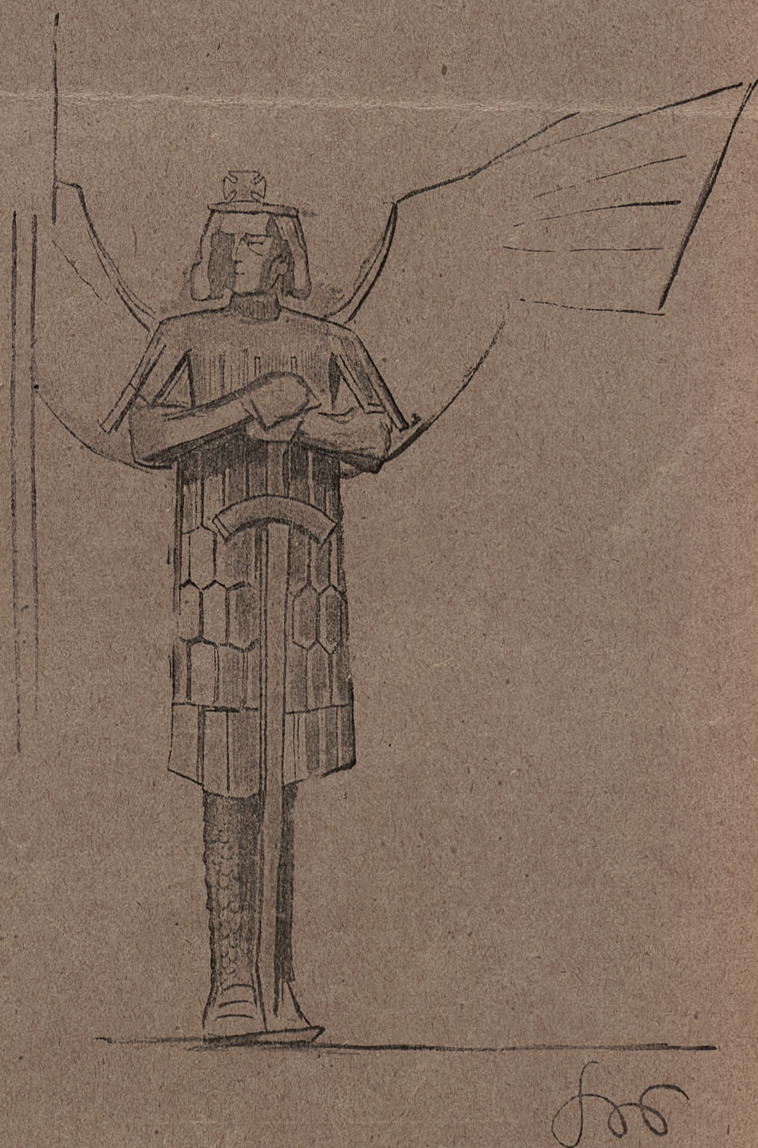
ŻYCIE



ROCZNIK I. ZESZYT V.

DNIA 29. PAŹDZIERNIKA 1910 R.

Wydawcy:
Dr. Aleksander LISIEWICZ. Hipolit ŚLIWIŃSKI.
Redaktor naczelny: GUSTAW DANIŁOWSKI.
Redaktor odpowiedz.: JULJUSZ ŁOPATKA.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA WE LWOWIE,
:: ULICA DWERNICKIEGO L. 11 A. ::

NUMER ZŁOŻONY I ODBITY W „DRUKARNI POLSKIEJ“ („KURJERA LWOWSKIEGO“) LWÓW, CHORĄŻCZYZNA 31. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA“. : WE LWOWIE I WIERZBICKIEGO W WARSZAWIE. ::



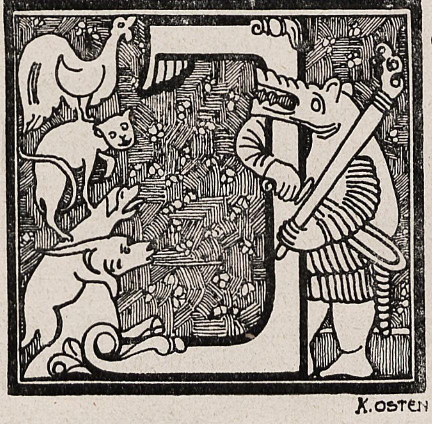
ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI

HUBERT NOWINA

RES PUBLICA

O BEZPARTYJNOŚCI ORAZ O PARTJACH.



Jeżeli nasza polityka sprowadza się do kwestji wychowania, ono tedy staje się rzeczą wskróś i nadewszystko polityczną. Kto zagadnieniem sił narodu dzisiejszych nie chce się zajmować, bo abstrakcyjne jutro ma na widoku; kto od polityki ucieka, aby się zająć wychowaniem: — temu lepiej, że gnije sam, lecz niechaj nie zaraża bezkrwistym osłabieniem dusz młodych, rosnących Polsce dzieci. Długo jeszcze Polacy od wczesna wzrastać będą duchem rewolucjonistami. Polski szept dziecka w szkole bywa już sprawą polityczną: czyliż wychowanie całych pokoleń żołnierzy wolności polityką by nie było? — Można sądzić przez chwilę, że wzorem zachodu nasze czynności społeczne się podzielą, wyodrębnione; że ludzie zdrowi — a więc dzieci na całkowitych, zdrowych ludzi jedynie chowane — pójdą prostą drogą wyzwoleńczej siły; i że wreszcie zrzucić trzeba z ciał i z dusz to męczenie się od dziecka, to przeżywanie w sobie od kolebki ucisku całego stulecia — tę denerwującą ośniedziałość naszego instynktu. W istocie, potrzeba w ojczyźnie ludzi, w których reakcja przeciw niewoli jest odzewem zdrowia i prostej siły. Ale najtęższym drzewom ciemnego lasu zbyt łatwo jest zaszczepić trucicielską płonkę. Do naszego zdrowia i dobrobytu należy kajdany łamiąca niepodległa myśl polityczna. Widziano u nas dzieci, co chude, wydane odruchom na pastwę, wyciągały ku niebu swe rączki, ledwie z kołyski wyszłe, modliły się o Polskę. Potrzeba, by greckie tradycje przeszły nam w krew: aby się dłonie ledwie uformowane, jeszcze poradzić niezdolne, już wyciągały do warsztatu, na którym kuje się broń. Romantyzm słabości trzeba przetworzyć na romantyzm siły.

Do mocy człowieka należy patrzeć prosto w twarz najtrudniejszym zagadnieniom swoim i nie pozostawiać ich leżących bez troski po drodze. Nierozplątanym i omijanym zagadnieniem jest rzecz udziału partji w wychowaniu. Między bezpartyjnością, która zaszczepia przyszłym mężom ideową bezpłciowość, a zaś partjami, coby dzieciaków wciągały do roboty, nagromadziło się mnóstwo nieporozumień. Ich grunt leży głęboko, pewnie u źródeł naszego życia publicznego, w samym przyjętym pojęciu partji. Pochodzi ono u nas z pierwszej połowy XIX-go stulecia, gdy w opinji nazywało się partją zastąpienie celu ogólnego przez osobny, tamtemu uszczerbek przynoszący; albo także bezkrytyczną wiarę w zasady, przeciwstawioną realnemu poglądowi na kraj. Pojęcia od tych pochodne pokutują w duszy i istnieniu narodowym. Najgorzej, jeśli stłumione, niewyjawione, wracają przez podświadomość i decydują o czynościach.

Partja w nowoczesnym życiu — główny i konieczny czynnik publicznego układu — powstała na gruncie rządów przedstawicielskich, w związku z ustrojem gospodarczym. Wyobraża uwarstwowienia interesów i odpowiada za nie wobec całości. Jest przeciwstawieniem się różnych prac koniecznym dla współdziałania. Jest więc kierowniczym, rozstrzygającym czynnikiem polityki kraju. Zadaniem partji jest przez pryzmat swego wzroku i woli na kraj patrzeć, swoim działaniem kraj przetwarzać. Całość kraju i społeczeństwa partja sprowadza do swego w nich stanowiska i tym sposobem od części do całości wraca. Gdy społeczeństwo wszystkie sposoby politycznego ujawnienia się zdobędzie, dopiero wtedy od barbarzyńskiego jednolitości stanu do kulturalnego jedności zorganizowania dochodzi. Z tych założeń wynika cały szereg wniosków: wymienię niektóre.

Partyjność nadaje kierunek wszystkim innym czynnościom politycznym, lecz nie zwalnia od żadnej z nich.

Partje reprezentują część interesu zbiorowego w danym kraju: wszelka rzecz obchodząca interes publiczny, jest obowiązkiem i prawem partji.

Partje nie reprezentują wszystkiego interesu publicznego w kraju, chociaż na wszystkim mogą i muszą swoje piętno odcisnąć. Dzieje się to tym, iż ideał przyszłościowy żadnej partji nie pokrywa się — ani nawet w perspektywach czasu — stanem jej obecnym. Widokiem przyszłości dla partji jest całość społeczna. Całe społeczeństwo z dzisiaj jest podstawą społeczeństwa jutra i partja jest tylko środkiem, niedoskonałym prawie tak samo, jak cała społeczność dzisiejsza niedoskonałą jest: — środkiem dopiero dla dokonania przemiany.

To, co w społeczeństwie staje się urządzeniem — instytucją, to przestaje być własnością partji i nie jest już istotą partyjną. Nie znaczy to wcale, by partja miała tam stracić swój wpływ. Właśnie przeciwnie: gdy dana instytucja pod wpływem partji powstała, tejże zadaniem będzie instytucję tę rozwijać, przetwarzać; ale już wyłącznie na nowym gruncie, na własnym instytucji tej gruncie. I dalej partja znowu zachowuje sobie swobodę być wyrazem przemian politycznych w społeczeństwie rozwiniętym przez te instytucje — i może jutro znowu zwalczać swoje własne dzieło, dokonane jej wpływem wczoraj, zaś jutro tylko w nowej formie i instytucji dokonać się zdolne.

Wychowanie jest jedną — może główną z pomiędzy tych instytucji kraju. Jest rzeczą publiczną, więc partje muszą w niej mieć udział. Jest stałą społeczeństwa instytucją, więc do partji, jako jej dziedzina własna, nie należy. Stąd pozorna sprzeczność: partje powinny się zajmować wychowaniem, a wychowanie nie powinno być partyjne. Sprzeczność ta, pozostawiana bez rozwiązania, ciąży na całym naszym życiu — na szkołach, stowarzyszeniach i partjach samych — niejednym drogo kosztującym fałszem.

Sprzeczność powstaje ztąd, iż nie mamy rzeczowej kultury politycznej, oraz iż nie posiadamy rządu.

Interesem człowieka w każdym zadaniu jest zdolność wykonywania go — czyli kompetencja. Podobnym jest interes każdego ugrupowania społecznego. Kierownicy partji winni być zdolnymi do politycznych działań, członkowie — zdolnymi do obywatelskiego istnienia.

U nas o kompetencje w robieniu polityki nigdy i wcale nie pytano. Jest coś głęboko nierzeczowego w rozwoju naszych spraw publicznych. Jeśli się rodzimy rewolucjonistami, to wcale jeszcze nie znaczy, abyśmy politykami wyłazili prosto z pieluch. Choroba niekompetencji żre nas więcej niźli którykolwiek naród.

Interesem partji jest, aby wychowanie w kraju, gdzie ono działa, kształciło ludzi pełnych — zdolnych być członkami partji. Ale predestynacji w tym względzie niema i człowiek sam, dojrzawszy, siebie predestynuje. Interesem partji jest, aby wówczas czynił on to świadomie, aby wybierał politykę i partję, która jego życiowym interesom odpowiada, nie zaś tylko tę, którą zna. Najważniejszym partyjnym interesem w wychowaniu jest, aby nie było w społeczeństwie niedokształconych ludzi, a więc też i niedokształconych partyjników. Ludzie do partji wstępujący muszą być całkowici, z poczuciem swych obowiązków, obywatele Rzcczypospolitej. Złem koniecznym naszych warunków

politycznych jest, iż nieraz potrzeba wyłącznie oddać się partyjnej robocie: lecz właśnie takie oddanie się powinno być zagwarantowane w kompetencji swojej, aby się nie wykoszlawiło działanie polityczne nieuctwem agitacyjnym. Na ciężką dolę i zadanie funkcjonarjusza partji rewolucyjnej w kraju podbitym trzeba rycerzy. Któżby zamiast rycerzy, chciał niedorostków, nieświadomych własnej myśli i czynu?

W wolnych krajach instytucjami społecznymi kieruje rząd, albo też — w demokracji ku republice rozwijającej się — wolna inicjatywa społeczna. Nie mamy ani tamtej możności — ni też tej swobody i zadania te w znacznej mierze stają się udziałem partji. Partje, zastępując instytucje społeczne i rządzące, winny mieć rzeczową tego świadomość, powinny być zdolne do takich działań, do takiego ponad naturę swoją wyrastania. Wychowawczo działając, na gruncie wychowania partja stać powinna. Członek partji, zajmujący się czynnością wychowawczą, wiedzieć powinien, że w imię partyjnych swych zadań spełnia obowiązek obywatelski w stosunku do całości kraju i narodu. Partje zajmujące się sprawą wychowania — a najznaczniejsza część ich działań jest dzisiaj wychowania sprawą — wiedzieć powinny, iż spełniają funkcje Komisji Edukacyjnej — ostatniej instytucji publicznej w wolnej Rzeczypospolitej, że zastępują w tym działaniu Ministerjum narodowe.

Los nasz jest opłakany, położenie narodu całego gorsze, niżeli wymyślone przez wszystkie imaginacje piekła. Za cenę niepodległości — jeśli ktoś u nas niedawno opowiadał, że mistyczne widoki hodujemy pomyślnie, — tedy powiedzieć się chce, iż za tę cenę, wbrew całemu przyrodzeniu duszy polskiej bogactwu, chowamy tylko ciemność i biedę, słabość i kruchość, nikczemną miazgę deptanych popędów mamy najczęściej w umysłu wysiłkach największych, zaś kajdany wyżarły zardzewiałe swe ślady na duszach.

Partje u nas muszą być dzisiaj politycznie wszystkim. Aby tym stać się, winny wiedzieć, że w ich dziele ma być na każdym kroku uszanowanie dla majestatu narodu, dla potęgi przyszłej narodowego rządu. Są u nas ludzie i partje, co zdanie to wykpią. Zaprzaństwo względem własnego kraju, które nigdzie bezkarnym nie jest, u nas nawet — do czasu — popłaca. Więc jak ci co deptać lubią podeptanego, są partje, które uczyniły sobie narodową naszą bezsiłę terenem językowego sportu. Łatwo jest napadać na skryty w czeluściach spisku zamysł swojego niepodległego rządu, własnego na tej ziemi i wydartego jej łupieżcom władania; bezkarnie jest, zaiste, pomstować wytartymi liczmanami frazesu przeciw temu, co jutro może już zwycięztwem groźne — dziś jednakowoż tylko cieniem jest smutnym; — łatwiej to i bezkarniej, aniżeli grabieżczym rządem zatrząsnąć. Mieli, dostali dowód tego w rewolucji ostatniej fanatyczni eunuchowie czynu z frazesów. Więc gotowi dziś uznawać wszelki gwałt — tylko nie chcą i jedynie się boją — polskiego gwałtu. Gdzie ich kłamstwo w obliczu kraju zaprowadzi — niechaj się troszczą sami. Ale to powiedzieć trzeba: w Polsce, po jej przełomach i walkach, z których wolność wybuchnie, pozostać mogą i działać będą jedynie te partyjne organizacje, które właśnie dziś, w nierządzie polskiej niewoli, śród potarganych społeczności węzłów, w obliczu wroga rządzącego wszechmocnie, już dzisiaj uznają majestat rządu niepodległej Rzeczypospolitej.

Potrzeba więc, aby budził się i żył w partjach duch obywatelski. Objawić się zaś może uświadomieniem sobie przez partje zadań państwowości polskiej. Partje rewolucyjne w Polsce muszą mieć element państwotwórczy w sobie, inaczej zgniją swym kłamstwem wśród niewolnictwa.

Potrzeba, aby dla zadań wychowawczych powstały obok działań odnośnych partji międzypartyjne, międzyobywatelskie instytucje. Organizowanie takich, jak Macierz w Królestwie, z piętnem partyjnym tylko bez nazwy, jest fałszem i dowodem nieukształcenia. Trzeba mieć śmiałość nazwać siebie w tym, co się czyni samemu; trzeba mieć odwagę czynić razem te rzeczy, których razem dokonać można.

Potrzeba wreszcie, aby opinja publiczna kontrolowała partje — właśnie dlatego, że są silne, bo konsekwencją siły jest jej nadużycie. Może ten jest wzgląd najważniejszy, dla którego wartoby chodzić skróś ziemię polską, jak długa i szeroka, i wołać o odrodzenie piśmiennictwa publicznego w Polsce. Obok rządu *de facto*, będącego w rękach partji, musi być u nas rząd moralny, działający przez prasę. Czy jednak wyobraża sobie kto, aby w Polsce moralnie uznanym rządem mogli być — dzisiejsi jej dziennikarze? Narodową potrzebą jest podźwignięcie i reforma niepodległej prasy polskiej. Wolna trybuna publiczna da nam jedną z gwarancji rządu Polski. Nigdy dość takich gwarancji, bo od nich do gwarantowanego celu — szmat drogi.

BRONISŁAW LASKOWNICKI.

TARGOWICA SEJMOWA.

Rok 1910 uchodził już zdawna za rok „feralny“ dla galicyjskiego sejmu. Zapowiadał mu to nastrój mas ludowych w burzliwym okresie przedwyborczym; prorokowały zgłoszone zaraz na początku bieżącej kadencji wnioski o reformę wyborczą, opartą na powszechnym, równym, tajnym i bezpośrednim prawie głosowania; mówił o tym ogólny nastrój posłów zarówno po lewej, jak po prawej stronie Izby.

Jedyny na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej sejm polski, palladium nie to cnót, ale wad i ułomności rycerskich przodków, ostatni schron przywilejów kastowych, które spowodowały upadek naszej państwowości, by później zmorą dławiącą zaciężyć na piersi polskiego Piemontu — począł drżeć w posadach z chwilą wprowadzenia powszechnego głosowania do parlamentu wiedeńskiego.

Zebrany na pierwsze posiedzenie obecnej kadencji — kiedy już od roku z górą żył i działał w Wiedniu parlament ludowy — sejm galicyjski we Lwowie podobny był dziecięciu, rozpoczynającemu żywot ze znamieniem bliskiego skonu na wybladłej twarzyczce.

W Wysokiej Izbie panowała atmosfera duszna, brzemienna burzą. Na licach „wybrańców ludu“— i tych, co wysłała ich tu kurna chata, i tych z miejskiego bruku, i nadewszystko tych z szlacheckich dworów i magnackich pałaców — malował się dziwny smętek, odbijający równocześnie powagę chwili. Wszyscy odczuwali, że sielanka sejmu z „bezpiecznym duchem“ ma się ku końcowi.

Niewątpliwie to był ostatni, co tak pięknie wodził poloneza sejmów kurjalnych braci szlachty, gdzie cham i łyczek miejski byli jedynie efektami dekoracyjnymi. Ostatni...

Jakże odmienną fizjognomię od poprzednich miał ten sejm schyłkowy u kolebki swojego suchotniczego żywota.

Konserwa, zawsze jeszcze silna, ale już pozbawiona bezwzględnej większości, zapewniającej jej *absolutum dominium* i — co za tym idzie — tej pewności siebie, z którą naszym „urodzonym“ tak dobrze było do twarzy. Lewica — pożal się Boże — demokratyczna, w jednym klubie, mimo różnic przymiotników, jeszcze podówczas z osiwiałym Rayskim Albinem na czele, co — choć sam marszałek powiatowy i obszarnik — chadzał ongiś za pan brat z Romanowiczem, Szczepanowskim, nawet z Rotterem. Ludowcy, jak nigdy do tej pory, moc chłopa, zasilonego tężyzną inteligencji, jak powaga w sprawach wodnych, kanałowych, meljoracyjnych — Kędzior, jak zasłużony w dziedzinie współdzielczych organizacyj rolniczych i przemysłowych dr. Stefczyk, jak najmłodszy w Izbie, pełen zapału i chęci do pracy, po trochu radykalizujący dr. Wasung — obok dr. Bernadzikowskiego (wkrótce członek Wydziału krajowego z ramienia ludowców), obszarnika Jampolskiego, bankowca Żardeckiego, nafciarzy Długosza i Lewakowskiego. Wreszcie Rusini, podzieleni wprawdzie za protekcją Wysokiego Rządu na dwa kluby, ale wspólnie, gdy trzeba, uderzający, silniejsi ogólną liczbą, niźli w poprzednich sesjach, mający już za plecyma we Wiedniu poważny klub parlamentarny. z którym rząd się liczy i prowadzi rokowania.

Taki był obraz sejmu u początków kadencji.

I mogło się wówczas zdawać, że ten sejm, powołany do życia pod hasłem reformy ordynacji wyborczej, naturalnym rzeczy porządkiem winien dzielić się właściwie tylko na dwa zasadnicze obozy: za reformą i przeciw reformie. Pierwszy mocarny ideą, zwarty, świadom dróg i celów do których zdąża. Drugi przekonany o czekającej go nieuchronnie klęsce, więc słaby, lękliwy, chwiejny, do ustępstw skłonny, byle ocalić resztki dawnej potęgi, okruchy wymykającej się mu z rąk władzy.

A dziś...

Quantum mutatus ab illo!

Zmienione role, warunki walki, widoki zwycięstwa, czy klęski. Siła, jedność, zwartość, pewność siebie, świadomość dróg i celów — po prawicy. Na lewej stronie słabość, rozbicie, zatomizowanie walczących, chwiejność, błąkanie się po omacku, gotowość przyjęcia rzuconych z ławki ochłapów, byle ocalić z pogromu pozory, że coś przecie udało się zrobić dla siebie, dla swoich wyborców, dla swojej kurji, dla swojej partji.

W oczach naszych — choć za kulisami — rozgrywa się wstrętna, bolem i wstydem przejmująca tragifarsa upadku demokratycznych w sejmie żywiołów — na tle tandetnych targów, kompromitujących kompromisów, skandalicznych etapów pod znakiem raka. Widok tym smutniejszy, że towarzyszy mu świadomość, niemal pewność, że, gdyby wówczas, z samego początku uderzono silnie w te Okopy św. Trójcy, za murami których kryje się galicyjskie wstecznictwo, siła wstecznictwa całej Polski; gdyby ten szturm powtarzano następnie z wzrastającą siłą i energją — można było zwyciężyć na całej linji, a przynajmniej stworzyć podwaliny istotnej reformy. Niestety, to się nie stało. Stracono czas, zmarnowano jedyną sposobność, pozwolono konserwie ochłonąć, zebrać szyki i — co najgorsze — wprowadzić zdradę w obóz nieprzyjacielski.

W warunkach, jakie wytworzyły się w ciągu tych paru lat, o zwycięstwie myśli demokratycznej w sejmie marzyć niepodobna. Trzeba wytężyć siły, już nie, aby zdobyć lepsze, lecz by ochronić się przed gorszym. Doszliśmy do tego, że z obozów najradykalniejszych odzywają się głosy: Ma być taka reforma, jaką nam ofiarowują, to lepiej niechaj żadnej nie będzie!

Sytuacja w sejmie jest jasna: Konserwatyści starają się pozyskać z jednej strony demokratów miejskich, z drugiej ludowców widokami pewnych nabytków partyjnych, aby w zamian za to zapewnić sobie wzmocnienie i utrwalenie własnej pozycji. Szczegóły tych konszachtów, o ile zdołają przebić brudną mgłę otaczającej je tajemnicy, znane są z pism codziennych, więc nie będziemy ich powtarzali, zwłaszcza, że każdy niemal dzień przynosi jakąś nową, często cudaczną zmianę. Podnosimy

jeden szczegół, najważniejszy, który powinien w całym kraju wywołać burzę protestu:

Petryfikacja!

Więc nie dość utrzymania systemu kurjalnego, który ma być pomnożony jeszcze nowymi kurjami. Nie dość usankcjonowania dotychczasowych przywilejów naszych domorosłych „narzędzi bożych“ i dodania do nich jeszcze nowych (mandaty z nieistniejącej do tej pory Rady kultury krajowej). Nie dość udoskonalenia słynnych galicyjskich szacherek wyborczych rozmaitymi pluralnościami i propoıcjonalnościami na pożytek dożywotnich i dziedzicznych „opiekunów“ kraju. Nie dość podeptania praw ludu, domagającego się słusznie takiego samego udziału w rozstrzyganiu o gospodarce kraju, jaki odnośnie do gospodarki państwa przyznano mu w parlamencie.

To wszystko ma być jeszcze spetryfikowane na lata, może na lat dziesiątki...

Zaiste, pomysł godny skamieniałych w swoim sobkostwie, swojej bucie, w swej zachłanności mamutów.

Wśród panujących w Sejmie stosunków, wobec marazmu, jakiemu uległy tam żywioły demokratyczne — można oczekiwać wszystkiego. W prasie codziennej raz w raz pojawiają się wieści, że ludowcy, że demokraci mieszczańscy skłaniają się już do przyjęcia takiej, czy owakiej, mniej lub więcej ograniczonej petryfikacji.

Ryba demokratyczna połknęła haczyk i ze słabnącym z każdą chwilą oporem daje się wciągać na konserwatywną patelnię.

Lada dzień, lada moment usłyszymy może tryumfalne fanfary dziennikarskie, że „wielkie dzieło reformy szczęśliwie doprowadzono do końca“, że „kraj uwolniony od niezdrowego wrzenia“, że niebawem nowy, „zdemokratyzowany“ Sejm „wejdzie na nowe tory normalnej, spokojnej, pożytecznej pracy...“

Rzeczywistość — czy złudzenie?

Dobra wiara — czy obłuda?

Dla nas to jedno jest już dziś pewne, że cokolwiek najbliższy czas przyniesie, jakakolwiek z tego Sejmu wyjdzie karykatura reformy — istotna, rzetelna walka o Sejm, o głos w nim i prawa szerokich warstw ludowych rozpocznie się naprawdę dopiero teraz. A będzie to walka nietylko o Sejm, ale o uzdrowienie całokształtu naszych zabagnionych stosunków, o byt w kraju, o możność jego przyrodzonego rozwoju, o prawo światła i chleba i pracy dla wszystkich jego mieszkańców, o przyszłość narodu, który w tym kraju tyle najpiękniejszych pokłada nadziei.

W ogniu tej walki zczeźnie piwniczna pleśń i stęchlizna średniowiecza, zginie rdza, żrąca zdrowy kruszec naszego narodowego lemiesza, odrodzi się, jak Feniks z popiołów, polska myśl demokratyczna wielkich przodowników naszych i obcych ruchów rewolucyjnych, dziś służąca za tarczę potulnym i powolnym na skinienie każdoczesnego namiestnika burmistrzom miast prowincjonalnych, „adwokatom przemysłu“, c.k.n.d. prokuratorom państwa i rządowym pretorjanom z obozu niegdyś ludowego.

Chcą wielmoże nasi petryfikacji — będą ją mieli.

Srodze się jednak mylą, jeżeli sądzą, że będzie to naprawdę petryfikacja ich uwiądu starczego, ich przywilejów kastowych, ich panowania w kraju, petryfikacja ludu krzywd, ciemnoty, bolu, rozpaczy.

Nie.

Przeżytych kształtów żaden cud nie wróci do istnienia.

Spetryfikują co innego: walkę całego ludu o swoje najświętsze dobra, walkę na śmierć i życie, twardą, niezłomną, ofiarną — aż do zwycięstwa!

T. CHARZEWSKI.

JUBILEUSZ CHOPINA.

Na wiecznym zegarze, na którym sędziwy Czas liczy wieki, wybiła godzina — wiek od chwili, gdy wśród pól i lasów w małym dworku, przy dźwiękach rozbrzmiewającej weselnej kapeli wiejskiej, zabłysła na horyzoncie naszym nowa gwiazda, nie pokaźna na razie i nie pozwalająca niczym przypuszczać, że urośnie w blask i żar tak wielki, iż zaćmi wszystko wokoło i stanie się na wieki ideałem, doskonałością niedoścignioną.

Początek i pierwsze dziesiątki w. XIX. brzemienne w fakty dziejowe, czyny, bóle, radości, zawody, upadki i chwały, potrzebował do tych ogromnych, tytanicznych czynów, ludzi niepowszednich, niecodziennych, ale nad zwykłą miarę zakrojonych — genjuszów. Nie brakło ich też. Na każdym polu, skąd tylko dochodziły odgłosy walki i tętniła chęć czynu, znaleźli się oni. — Jedni wprawdzie zabłyśli jako meteory, aby zajaśniawszy, świetnie zgasnąć, inni chwilowo mniej świetnie, ale zato wiecznie, bo tak chce nieubłagany los. Co ma się oprzeć twardemu dziełu zniszczenia i zapomnienia, musi powoli hartować się

w ogniu cierpień i przeciwności i zazwyczaj, gdy ciało ziemia już pochłonie, rozbłyska w pełni blasku chwały.

Naród nasz, złamany, zniszczony, przez wymazanie z karty pozbawiony możności czynu w politycznym zakresie, zgnębiony i złupiony barbarzyńskim okrucieństwem, wydawał się, ciemięscom swym przynajmniej, niezdolnym i do czynu intelektualnego.

Stało się inaczej. Oto na ziemi obcej obudził się naród do życia, i im silniej gnębiono ojczyznę, tym gwałtowniej objawiało się to parcie do czynu, do heroizmu nie krwawego, bo ten mógł być tylko męczeństwem, ale heroizmu w dziedzinie ducha. I wyrosły olbrzymy głową nieba dosięgające, które tę ojczyznę przybitą, rozdartą, wskrzesiły w sferach wyższych, w regjonach niedostępnych plugawości najeźdźców.

Obok trójcy wieszczów, stanął czwarty zwycięsca. Jego bronią nie słowa — ale dźwięki, czyli „te nagie stany duszy", bo cóż stanowi potęgę muzyki, jeśli nie jej metafizyczność, jeśli nie ta bezpośredniość przelewania uczuć z duszy w duszę!

I Chopin nie ze szczęścia, nie z ciszy wyrósł, ale z tego, co boli, co targa duszę, co krwawi serce. I stanął też na swym piedestale, na szczycie, jako przewodnik i piewca narodu nagle, choć nie nieoczekiwanie. Chwilą tą była chwila, gdy wydarł się z jego piersi okrzyk bolu,' a zarazem do najwyższego napięcia doprowadzonego natchnienia w Etudzie rewolucyjnej, a dalej w Preludjum Nr. 2 i Scherzu h-moll. Od tej chwili Chopin stał się sobą, a zarazem duszą narodu. Mógł się jego talent wyrabiać, mogła się forma w wypowiedzeniu stawać doskonalszą, ale do ducha, do gejzeru uczuć nic już przybyć nie mogło. Pobyt w Sztutgarcie stał się chwilą, gdy intuicja artysty doszłego do jasnowidzenia zlała się w jedno z duszą narodu. Czy do takiej syntezy mogło jeszcze cośkolwiek przybyć? czy można do niej co dodać lub zmienić?

Do tej chwili był Chopin artystą, artystą doskonałym i znającym duszę narodu, od tej chwili stał się nią, stał się jak to wybornie określił Paderewski w swej mowie „genius patrie"... duchem narodu.

Może wyda się śmiałym twierdzenie, i napewne nie zyska zgody wielu, że Chopin, gdyby nie wypadki z 1831, nigdyby nie był stanął na tym szczycie, na którym go dziś podziwiamy, nigdyby nie poznał i nie przejął tajników duszy narodu, gdyby nie te straszne, do obłąkania i rozpaczy doprowadzające chwile, jaki przeżył na wiadomość o wzięciu Warszawy.

To, co stworzył poprzednio, było wprawdzie o całe niebo wyższym od tego, co pisali współcześni, choćby i jego nauczyciele (Elsner, Karpiński czy Dobrzyński znamionowało bowiem artystę-poetę, czującego, głębokiego, czego tym brakło, ale nie różniło się w niczym od tego, co stworzył Mendelssohn, co stworzył pokrewny mu duchem Schumann.

Były to doskonałe utwory, artystycznie (nie wirtuozyjnie) wyższe dla bezstronnego od Liszta, bo pełne uczucia i indywidualności jednostkowej, dzieła zasługujące na oznaczenie terminem poważnych, ale to wszystko. Dopiero ten przełom z powyższej dziedziny przeniósł go, jak Mickiewicza Improwizacja w Dreźnie, na dostępny wybranym tylko szczyt — wieszcza narodu!

Powierzony sobie skarb niósł godnie, nie uronił zeń nic, owszem oczyścił, uświęcił — i wzmocnił.

Tak, wzmocnił, bo zabraniano nam wszystkiego, nawet mowy ojczystej, nie zabroniono tylko muzyki Chopina, zapominając o tem, że jak długo jego słuchamy, to Polakami być nie przestaniemy, bo widzimy tę całą duszę szlachcica i chłopa, młodzieńca i starca z całą ich bogatą, niewyczerpaną w odcienie i kontrasty skalą uczuć, że w nim znajdziemy całą duszę naszą krasną i bogatą i najmniejszą chociażby zmianę w nas, wsłuchując się w nie, rozpoznajemy. Słusznie nazwano też jego dzieła armatami wśród kwiatów ukrytymi. W narodowości też tych utworów tkwi uzasadnienie zdania Chopina o swych uczniach nierodakach, że wszystko jak najlepiej wykonają, prócz uczucia polskiego.

Gdyby się nas spytano, gdzie jest tego uczucia mniej, lub więcej, bylibyśmy w niemałym kłopocie, podobnie, jak gdyby przyszło osądzić co jest doskonalszym i genialniejszym: Mazurki, Preludja, Etudy, czy Polonezy lub Sonaty, lub Scherza i Ballady. Można wydawać sądy jednostkowe, ale o częściowym chociażby ich uogólnianiu mowy być niemoże.

Rozpatrywać kompozycji, podnosić zalet formy, harmonji, kontrapunktu niepowinniśmy tutaj i próbować nie będziemy, skoro ani miejsce ani czas po temu odpowiednimi nie są. Również i wpływem, zresztą jak najnowsze badania zwłaszcza wykazują ogromnym i rozciągającym się, raczej wzrastającym niż malejącym i to u najwybitniejszych nawet polskich i obcych kompozytorów, zajmować się nie możemy, skoro z twórczości jego uwzględniamy tylko najcharakterystyczniejszy, co prawda i dla nas nieocenionej wagi rys, pomijając bardziej indywidualne pierwszej i ostatniej epoki twórczości*).

Z walącej się świątyni Derwiszów uniósł on święty znicz, ożywił nim swą harfę o eolskim brzmieniu i rozniósł jej echo po całej Europie. Czy to gdy wygrywał dziarskie, a smętne jak równiny Mazowsza mazurki, czy poważny posuwisto sunący szereg matron sędziwych i magnatów i szlachty poważnie a dumnie i zawadjacko podkręcającej wąsa prowadził dźwiękami polonezów, czy to, gdy w tych pełnych nieukojonych tęsknot i tajemniczych szmerów nokturnach przenosił nas nieraz z pośród bolu, szarpania i walk do pełnego kwiecia i dymu kadzideł kościółka wiejskiego i tam na ubogich organach wygrywał cudne i wzniosłe w swej prostocie hymny, czy kazał się wsłuchiwać w szum lasu i łanów i cichych szeptów strumyka, w jasną, letnią noc księżycową, czy gdy potrącał harfą swą nutę bohaterstwa zapełniając ją tętentem i rżeniem koni, szumem proporców i skrzydeł husarskich, śpiewając rapsody o tych domowych, minionych czasach, czasach świetności, zwycięstwa. A cóż dopiero, gdy w tych małych formą, a tak wielkich

---

*) Bardziej szczegółowo przeprowadziłem ten podział starając się zarazem uwypuklić psychiczną konieczność w ich nastąpieniu po sobie w rozprawce jubileuszowej, drukowanej w lutym b. r. w „Naprzodzie".

treścią poematach, noszących nazwę Etud i Preludjów, wypowiadał się on artysta i on gienjusz narodu!

I jego lica przebiegał niekiedy uśmiech, ale jeśli to nie był uśmiech smutny, uśmiech rezygnacji lub uśmiech nad złotymi snami lub wspaniałymi minionym blaskiem wspomnieniami, był to uśmiech straszny, ów śmiech — ból rozpaczy, ów śmiech stojący na samej granicy obłąkania, który wydać, a granicy nie przestąpić, może tylko człowiek wielki i silny nad szary tłum. Tu boleść pełna przeraźliwych zgrzytów i jęków zaświatowych, tocząca się niszczącym orkanem, wśród której słychać niekiedy jakby śmiech szatana — to jego Scherzo h-moll. W tamtych dwóch już więcej smutku, ale spokoju, więcej refleksji, niż wybuchu. Tam już nieraz słychać nawet dźwięki serafickie. Czy to może kojące melodje Kołysanki tak podziałały?...

Aż wyszły mu z pod palców dźwięki poważne, posępne i groźne — dźwięki żałobne i rozbrzmiały jak surmy akordy, jakich po nim nie wydobył nikt, a przed nim tylko Beethoven. — I grzmiały mu te dźwięki długo i głucho, przechodząc wreszcie w ten „wicher jęczący ponad grobami“, jak nazwał Finale tej sonaty Rubinstein.

Brzmiały one jednak nad grobem ciała, zawodziły żałośnie, że z pod palców jego nie popłynie już pieśń, ale pozostał on, on nieśmiertelny, on nasz rodzic muzyki polskiej, ale i gienjusz wieczny narodu, on wieszcz!

MARJA KONOPNICKA.

Z POEMATU „UNICI“.

Długo stałam w zmroczonej lubelskiej katedrze
Słuchając, czy jęk ludu aż tu się nie przedrze.
Czy nie zadrżą te mury, te złote ołtarze,
Czy Bóg aniołom skrzydeł rozwinąć nie każe
I tak jak stoją, z mieczem i z chorągwią w dłoni
Biec przez miasto, wołając: Do broni! do broni!

A wtedy z Twego krzyża czarnego, o Chryste,
Uderzyły mi w serce promiona strzeliste
I rozkryły przedemną te bory tajemne
Podlasia, od wód jasne, od sosen swych ciemne,
Smętne — jak okiem zajrzeć — podmiękłe równiny,
Nad łąkami błądzący oparów dech siny,
Chaty, w których lud biedą i krzywdą swą żyje,
I razem z łzami wodę strumieni swych pije,
I w ciemnej wełnie chodzi z twarzą swą ponurą
I obłupion ze skóry — porasta znów skórą.
— Tak twardą duszę chowa, z Jadźwingów tych [rodu
Idąc, którzy tu niegdyś siedzieli u brodu.

I rozkryły przedemną te izby posępne,
Te więzienia błękitom nieba niedostępne
W których chłop polski, z swego porwany zagona,
Śpiewa: „Witaj królowo, Matko uwielbiona“...
A łzy mu wielkie, jasne lecą, jako grochy,
Po wynędzniałej twarzy... Te turmy, te lochy
Kędy się błagoczynny nocami przekrada,
Namawia, straszy, grozi, zaklina i bada,
Jak ów kusiciel Chrysta, który w owej dobie
Szeptał: „za jeden pokłon — wszystko oddam tobie.“

I zabiło mi serce pieśniami kipiące,
I ból z światłem je przeszył, jak grot i jak słońce
I upadłam wołając:
O Ukrzyżowany!
Dajże mi śpiewać dzieje unickiej sukmany,
Co dziś, w polskim narodzie, te serca okrywa,
Których męka najkrwawsza, najbardziej jest żywa.
Serca, najwyżej w Polsce ku tobie wzniesione,
Serca najboleśniejsze, najciężej skrzywdzone!
Dajże mi śpiewać, Chryste, ów lud co w swej męce
Razem z Tobą do krzyża przybite ma ręce!
Ten lud, co mu skroń krwawią korony twej ciernie,
Ten lud, co trwa przy Tobie śmiertelnie, a wiernie,
Co na Golgotę swoją, przez śnieżnych ziem krańce
Idzie, brzęcząc w kajdany i szepcząc różańce.

O daj, niechaj ta księga, niech ta karta pusta,
Jak Weroniki lniana zabarwi się chusta,
Niechaj na niej wybije w piętno tajemnicze,
Ludu mego męczeńskie, a ciche oblicze.
By ją kiedyś w unickiej cerkiewce złożono
Jak votum, razem z sercem i z ręką srebrzoną!



MIECZYSŁAW RETTINGER.

FELICJAN FALEŃSKI

(1825—1910).

. . . wiejące z kart pożółkłych pyły
W oczy Ci mądrość pruszą tak, jak pruszy
Na chmurną skroń twą szron przedwcze-
[snej zimy —
Więc w życie patrzysz, jak my w mgłę
[patrzymy.
(Franczeska akt I.)

W Felicjanie Faleńskim żegnamy jednego z koryfeuszów polskiej liryki i dramatu. Czy dajemy mu coś więcej nad pośmiertny entuzjazm w postaci dziennikarskiej stypy? Nikt bardziej nie odczuł niedostateczności nekrologów pochwalnych od tych, którzy pisali tylko . . . pochwalne nekrologi.

Felicjan Faleński był pisarzem, w którym dziwnie skojarzyły się heterogeniczne właściwości Był człowiekiem refleksji, który z pewną satysfakcją używał djalektyki sofistycznej dla wyciągnięcia z jakiejś myśli ostatecznej konsekwencji. I był jednym z tych naiwnych, dających „wszystko co nadmiarem wzbiera gorzkich prawd.“ Przeżył w sobie szereg organizmów duchowych, eksperymentując na poszczególnych polach twórczości, wznosząc potężne mury dramatu, czy wczuwając się w mnóstwo drobnych uczuć, szczególnych spostrzeżeń, konstruując swe przepyszne utwory liryczne, meandry z nastrojów na poły rzeczywistych, na poły wmówionych. Umiał w swej twórczości powracać do źródła dziecięcych snów, („Tańce śmierci“ „Królowa“), by narzucać mu powłokę zdarzeń, złożoną z załamań i pytań, które są udziałem najważniejszych spraw ludzkości. Na różnicy w pojmowaniu odpowiedzialności za winę, na przyjęcie nieszczęścia, jako potwierdzenia swej własnej dodatniości duchowej, wzrosła tragiczność dramatów Felicjana. Historyczność dramatów Felicjana tłumaczy się przez przejście apriorycznej „fatalności“, która jest częścią charakteru każdego z bohaterów. Konflikt podany przez tradycję historyczną, zawarty w znanej nam treści historycznego zdarzenia, uzasadniał Felicjan rozprowadzeniem swojej dramatyczności. Dosłuchiwał się harmonijnego rytmu w poszczególnych gromadach ludzkich, w kulturach Rzymu, średniowiecza, Judei. Każdy z ludzi, których wypracował Felicjan, miał jakiś cel w życiu, który rozumiał i oceniał. Los skazuje ich na zejście z tej drogi, na bezcelową pracę nad rzeczami innymi. Wiją się w sieci, której oczu nie znają, i każdy ruch dla rozerwania więzów wikła ich gęściej, głębiej i szczelniej. Tragiczność Faleńskiego choć ze zdarzeń historycznych czerpana, jest zawsze konkretna i określona, jak było greckie czy hiszpańskie życie. Co więcej c z y n y ludzi F. ukazują się nam jako typowe, co jest warunkiem i określeniem twórczego talentu każdego pisarza. Legenda wieków, ubierająca trzy kobiety (zapowiedź, przeciwstawienie i epigonizm) w piękną aureolę hardości i wytrwania, posłużyła Faleńskiemu do spełnienia najważniejszego czynu. Trzy dramaty rzymskie wypowiedziały i wyczerpały najpełniej Felicjana. Zapewne, gdyby mógł przewidzieć wszystkie skręty i przedłużenia, starcia i kombinacje swych artystycznych przeżyć, mielibyśmy zamiast kilku różnych, jedną prawdziwą tragedję. Lecz i tak artysta, schłonięty w potrzebie wypowiadania się, miał należytą wytrwałość do różnostronnego oświetlenia swej pracy, wytrwałość w wycieniowaniu szczegółów. Zestawić z nich można prawdę o Felicjanie Faleńskim tak samo, jak z specjalnych kawałków składamy życie Dostojewskiego, czy Żeromskiego. I wprawdzie nie ulega wątpliwości, że dramaty Felicjana, to przemycanie się powierzchni wyjątkowych zagadek, lecz we wnętrzu tych spraw dramatycznych tkwi wiele ścisłości i sumienności w segregowaniu motywów czynu, wiele energji w pomysłowej koncentracji materjału dramatycznego, tam gdzie inni wypisują morał lub ilustrują doktrynę, wiele nieporównanej oryginalnej umiejętności w przedstawieniu schematu historycznego tam, gdzie inni dostrzegli tylko anegdotyczne przeszkody, które wedle swego sprytu jak najstaranniej omijali.

Znali go Kraszewski i Norwid[1]). Siemieński pisał o nim już w r. 1859. Bartoszewicz wciągnął go do swej „Literatury“ (1861). Opracował Poëgo, Kochanowskiego (wydany tylko tom jeden), Szarzyńskiego, Hugo. Torował drogę liryce Asnyka, Konopnickiej. Oddziałał i pobudził Vrchlickiego, Gjalskiego, Glińskiego, Romanowskiego. Zapomnianym[2]) nie był (zapomnianą jest połowa literatury polskiej) przez ludzi tworzących. Nie potrzebował pochwały, lecz rozumienia. Gdy zaś rozumniejszych nie było — na cóż by się zdały pochwały? Jego „Althei“ należało się wystawienie. Lecz aż do pierwszych lat wieku XX-go teatr polski niezdolnym był do przyjęcia zasady teatru Felicjana. Dopiero kiedy niekiedy niektóre wystawienia Maeterlincka, Wyspiańskiego, Hauptmanna, a także — sit venia verbo — Roberta Bracco umożliwiły postawienie sprawy na właściwym gruncie: nastroju jako aktora. Odtąd można myśleć o scenizowaniu Althei, nad wyraz smutnego opowiadania o przedwczesnym skończeniu drogi przez człowieka, rozkwitłego żądzą życia a walącego się pod ciężarem przeznaczenia, które swe etapy znaczy w tragedji cmentarzami. Ogólność zagadnienia w „Althei“ (powszechna i w innych utworach) wytwarzała tę miłość odcieniową i zapał pochodny, jaką postacie Felicjana wzbudzić mogą. Aż nadto wyraźne — nie są przejrzyste. Tylko konturowy profil ich jest prawdziwym — portret barwny byłby karykaturą. Dlatego porównania Felicjana są djalektyką, spostrzeżeniami — obszernymi wywodami, a cały utwór — ekranem na którym rozkłada się swą umiejętność artystyczną, a którego cień pada na istotną rzeczywistość. Mimo to Felicjan był nielada badaczem

[1]) Nie od rzeczy będzie może wspomnąć, że żoną Faleńskiego była Marja Trembicka, „dobra siostra“ i nieustanna korespondentka Norwida z lat 1846—56, sama autorka, a przedewszystkim tłumaczka. Pamięci jej poświęcił F. wszystkie dramaty.

[2]) Poprzestać na razie muszę na zaznaczeniu, że wkładana od lat kilkunastu Faleńskiemu pseudotragiczna maska zapomnianego, jest fałszywą i filisterską.

„istotnej“ rzeczywistości. Przechodził obojętnie obok mijających wartości i nie zaangażował się na rzecz żadnej, która się okazała zdawkową. Prócz liryków, dramatów, powieści pozostawił swą „Klechdę niemądrą“, gdzie wielki artyzm przeszedł przez alembik potężnej wiedzy etnograficznej. „Klechda“ pozostała utworem jedynym i niedoścignionym. Talent jego był zdolnym do stylistycznego rozgraniczania osób, płci, klas i wieków. Wszystkie potrafiłyby mówić inaczej, gdyby miały mówić to samo. Nie kto inny, jeno Felicjan pierwszy spróbował, by masa (chór) mówiła inaczej, niż człowiek pojedynczy. Koncypowanie różnych sposobów wyrażania doprowadzał Faleński do mistrzowstwa.

W swym długim, dostojnym odrębnością życiu schodził swoją drogę. Twórczość była mu dobroczynnym cieniem i dozgonnym przyjacielem. Gdy odszedł — pozostawia niecodzienny dorobek, stworzony w wielkim, a zawsze bezinteresownym wysiłku. Przez to czcigodny.

ADAM SKWARCZYŃSKI.

STANISŁAW WORCELL.

(Z POWODU MONOGRAFJI BOLESŁAWA LIMANOWSKIEGO).

(DOKOŃCZENIE).

Worcell reprezentował skrajnie lewy odłam emigracji. Organizacja Lud Polski, do której przez długi czas należał, pierwsza polska organizacja socjalistyczna, tak dalece zrywała z tradycją ustroju dawnej Polski, że nawet konstytucję 3. Maja uważała za nowy sposób ujarzmienia ludu przez możnych. Nie uznając żadnego fetyszyzmu we względzie kultu dla tradycji historycznej, lecz owszem odnosząc się do niej krytycznie, nie mniej uważał Worcell, że ojczyzna jest to „spuścizna po ojcach, jedność obejmująca wszystkie następcze po sobie pokolenia ciągiem nieprzerwanym niepodzielnego życia“, więc to samo, co nazywaliśmy wyżej ciągłością kulturalnej samowiedzy narodu.

Ojczyzna nie jest jednak całością zamkniętą w sobie i w samej sobie cel posiadającą, lecz „jest węzłem koniecznym pomiędzy człowiekiem a ludzkością.“ Potępiając zapatrywania kosmopolityczne, przeciwstawia się Worcell jednocześnie tym, którzy nie widzą żadnej wyższej jedności od narodu: „Ci — mówi on — muszą oprzeć politykę na wyłącznej każdego narodu korzyści, na samolubstwie, sobkostwie narodowym, a przeto zaprzeczyć wszelkiej moralnej podstawie dla prawa narodów“. To też narodowość nie jest u niego pojęciem statycznym, opartym na języku wspólnym, czy wspólnej rasie, lecz oznacza organizację czynu: „Spólność urządzenia się bez względu na rodowość, w celu wyrobienia jednej myśli i woli; wspólność czynu na zewnątrz, oto jest, co narodowość stanowi.“

Tym czynem na zewnątrz jest nie co innego, tylko zdobywanie ogólno-ludzkich wartości, ideałów społecznych. Wolność, równość i braterstwo, to są najogólniej wyrażone ideały, do zrealizowania których dążą wedle Worcella współczesne społeczeństwa. Krytyczny jednak ten i zgłębiający wszystko umysł nie zadowalnia się tak ogólnikowym tylko ich sformułowaniem, lecz przemyśla do gruntu istotę współczesnego przewrotu społecznego, dochodząc w konsekwencji do światopoglądu socjalistycznego. Na dnie walki stronnictw we wszystkich narodach i państwach, na dnie wszystkich rewolucji, widzi on „jakby jądro ogniste przeobrażającą się własność.“ W rozumowaniu swoim nie konstruuje a priori programu urządzenia nowej formy własności, ale przejęty omawianą wyżej historycznością kultury polskiej, analizuje samą tę instytucję społeczną w jej historycznym rozwoju, a wykrywszy rolę, jaką w życiu społecznym ona spełnia, tą dopiero indukcyjną drogą dochodzi do określenia przyszłych a pożądanych jej przeobrażeń. Obala więc przedewszystkim przesąd, jakoby ta forma indywidualnej i dziedzicznej własności, jaką dziś powszechnie widzimy, była odwiecznym, przyrodzonym prawem, przytaczając fakta historyczne, że tak podmiot posiadający, jak przedmiot posiadany, jak wreszcie prawna granica i forma własności, zmieniały się stopniowo w ciągu dziejów, przechodząc przez stadja własności patryjarchalnej, starożytnych form posiadania u Żydów lub Rzymian, dalej przez postać średniowiecznej własności feudalnej, wreszcie współczesnej własności mieszczańskiej, nie opartej już na przywileju stanowym, lecz zachowującej jeszcze prawo dziedziczenia. Własność zatym jest prawem społecznym, zmieniającym się w miarę społecznego rozwoju, a że każdemu społecznemu prawu odpowiednim jest jakiś obowiązek, który je określa i warunkuje, więc i własność także określona jest pewnym obowiązkiem, pewną rolą, jaką w rozwoju społecznym ludzkości wypełniać powinna.

Ludzkość wobec świata materjalnego, który jest przedmiotem własności, dwojaki ma obowiązek: musi go najpierw opanować, następnie udoskonalić. Pierwszy obowiązek spełniła już własność prywatna i dziedziczna, drugi ma spełnić przyszła forma własności. Praca jest tym czynnikiem, który świat materjalny udoskonala, praca więc staje się obecnie naczelnym obowiązkiem społecznym; nie kto inny zatym jak społeczeństwo „wynagradzać za nią i dostarczać narzędzi, to jest wyposażać będzie mogło, do niego zatym i do niego jedynie własność ziemi, własność nieruchoma należeć będzie.“

Takie jest rozumowanie Worcella, takie są ostateczne konsekwencje, do których doszedł formułując ideologię Ludu Polskiego. Tym poglądom przez całe życie pozostał wierny, jakkolwiek z organizacji Lud polski wystąpił, zmieniwszy poglądy na

kwestję zjednoczenia całej demokratycznej emigracji w celu wspólnego działania — i znalazł się ostatecznie w Towarzystwie Demokratycznym, na którego ideologję w znacznej mierze oddziałał.*) Krok ten uczyniony w interesie praktycznej działalności, której największe plony Tow. Demokr. zbierało, świadczy o poczuciu realizmu, który ten myśliciel w wysokim stopniu posiadał.

Umarł Worcell w r. 1857, a pamięć jego działalności snuła się między co raz to powstającymi i rozpadającymi się grupkami socjalistycznymi na obczyźnie, nie było to jednak w żadnym stosunku do ogromu jego zasług. Dopiero Bolesław Limanowski przypomniał go godnie narodowi, Limanowski, który przez swą długoletnią działalność pisarską stał się pośrednikiem między dzisiejszym postępowym i wolnościowym ruchem a rewolucyjnymi tradycjami przeszłości: do swej Historji ruchu społecznego dodaje pierwszy zarys historyczny rozwoju idei społecznych w Polsce porozbiorowej, w historji styczniowego powstania umie podkreślić tętniące współczesnością momenta, czyniące tradycje tych walk wyzwoleńczych żywymi, w monografji Worcella wreszcie stawia nam przed oczy pierwszy system polskiego socjalizmu, odkrywa i oświetla życie i rozwój umysłowy jednego z najwybitniej nowoczesnych polityków polskich.

*) Taka zmiana poglądów taktycznych i przejście do innego obozu jest zapewne kwestją etyczną, co do Worcella jednak, zbyt dobrze znane są pobudki, oraz kryształowa czystość jego charakteru, by mu z tego powodu mógł ktokolwiek robić zarzuty, ktokolwiek, nawet... recenzent »Czasu« p. Medelsohn.



EUGIENJUSZ SKIERSKI.

DE VIRTUTE MILITARI.

Angielscy pisarze wojskowi i polityczni, z przerażeniem stwierdzając w swoim społeczeństwie zanik tych wartości moralnych, które nazwano ongi cnotą żołnierską, z naciskiem wypowiadają przekonanie, że ludzkość nawrócić musi w pewnym względzie do dawnych ideałów, jeśli cywilizacja, wytworzona przez przodujące w niej narody, ostać się ma przed nieuchronnym kiedyś najazdem narodów zacofanych pod względem cywilizacyjnym, ale bitnych. I gdyby te obawy choć trochę były zasadne u narodu potężnego i wolnego, gdyby Anglja, państwo niepodległe, naród energiczny, przedsiębiorczy, fizycznie hartowny, miał powód drżeć o przyszłość swej kultury przez to, iż zapomniał o wszczepianiu w krew swej młodzieży ducha rycerskiego, to ileż groźniej narzucićby się musiały też same złowrogie przewidywania nam, podległym i do podległości nawykłym, wyklinającym wszelką myśl o czynie orężnym, nam zgnuśniałym w niewoli? Pojęcie samo „cnoty żołnierskiej“ umieściliśmy przecież od pół-wieku wraz z znakiem zaszczytnym, poświęconym „virtuti militari“, w Panteonie narodowych pamiątek...

Cóż to jednak jest owa cnota rycerska?

Ustaliło się przecież i przyjęło powszechnie przekonanie, że wobec nadzwyczajnych ulepszeń broni palnej — w następstwie których zmieniły się gruntownie sposoby prowadzenia wojny — indywidualne cnoty żołnierza nie odgrywają dzisiaj na polu walki prawie żadnej roli. Nowoczesna technika wojenna wyklucza jakoby starcie się bezpośrednie piersi o pierś — uzależniając decydujący moment walki od umiejętnego, lecz mechanicznego korzystania z broni palnej. — Ilość więc dział i karabinów rozstrzygać ma dzisiaj o zwycięztwie lub przegranej.

Minęły według tych poglądów bezpowrotnie wyolbrzymiałe w naszej fantazji cienie wojowników-rycerzy, z których każdy starczył za hufiec żołnierza — a tradycje genialnych wodzów, odnoszących najświetniejsze zwycięstwa w walkach z przemożnym i daleko silniejszym wrogiem, należą do przeszłości. Gienjusz wojenny wodza odgrywa oczywiście i dzisiaj rolę nieposlednią — silnie go jednak krępują nowoczesne środki walki. Brawura zaś i osobiste zalety żołnierza i niższych dowódców nie znaczą nic — oprócz jednej jedynej — ślepego, czysto mechanicznego posłuszeństwa wobec przełożonych. Mechaniczne, sprawne i dokładne wypełnianie ich rozkazów ma być w ręku głównego dowódcy najcenniejszym wojennym tworzywem.

Takie do niedawna poglądy miały walor w świecie strategicznym. Działały one na nas deprymująco. Jak liście podcięte mrozem jesiennym zlatują z drzew i ścielą się smutne u naszych stóp — tak ginęły w społeczeństwie polskim i wszelka myśl o wielkim czynie i zamiar wzniecenia dawnych tradycji wojskowych pod zamrażającym krew w żyłach narodu tchnieniem tej zasady, że w dzisiejszych warunkach — przy obecnym znaczeniu w wojnie sił materjalnych — wszelka akcja zbrojna nie może mieć dla nas najmniejszych nawet szans powodzenia.

I potrzeba było aż wojny rosyjsko-japońskiej, ażeby oficjalni strategicy zrozumieli, że przecież zasady strategji i taktyki nie wiele się zmieniły od czasów niezrównanego mistrza sztuki wojennej, Napoleona Wielkiego. Nie powinny więc stracić swej wartości i siły moralne, które według słów tego gienjalnego żołnierza, stanowiły połowę zwycięstwa. I dzisiaj, jak wprzódy, operuje na wojnie

każdy dowódzca chociażby najmniejszego oddziału trzema czynnikami — czasem, siłą i przestrzenią. Jak dawniej tak i dzisiaj są to ilości dlań mało znane, trudno mu więc ułożyć z nich równanie matematyczne, prowadzące go logicznie do jednego tylko wniosku — decyzji. Czynnik pierwszy — czas, wchodzić może w jego kombinacje jako ewentualnie najlepsza chwila współdziałania podzielonych grup, lub jako najkorzystniejszy dlań moment starcia ze względu na warunki boju. Obydwie te fazy zależą od najrozmaitszych mało znanych kombinującemu czynników — z których najważniejszym jest przeciwnik — jego pozycja i szybkość jego ruchów.

Czynnik drugi, siła, występuje jako ilość karabinów, koni i dział, stających do walki. Wydawaćby się mogło, że w odniesieniu do własnych stosunków znamy ten czynnik doskonale. Tymczasem podczas większych operacji wojennych pogląd ten mija się zupełnie z prawdą.

Zazwyczaj bowiem wtedy występuje się w kilku grupach — a dowódzca całości nie może z niewzruszoną pewnością wciągać tych grup do swych planów i liczyć na to, że nieznane mu bliżej fakty nie pokrzyżują mu jego zamiarów. Po za tym uwzględnić trzeba, jeśli się o sile mówi, cały splot sił moralnych, jak n. p. zmęczenie żołnierzy wskutek przebytych utarczek, ufność we własne powodzenie, zapał rewolucyjny mas, zaufanie obopólne żołnierzy do wodzów i odwrotnie. A gdybyśmy nawet wszystkie przytoczone powyżej warunki znali, to i tak znalibyśmy tylko połowę, takie same bowiem warunki pod tym względem zachodzą i po stronie wroga, wiadomości o nim dostarcza nam służba wywiadowcza, która, chociażby najidealniejsza była, nie wyczerpie całości.

Czynnik trzeci, przestrzeń, występuje w najważniejszej formie, jako teren rozprawy głównej. Silna pozycja rozstrzyga nieraz o wyniku bitwy. Wprawdzie mapy i plany dają nam pewien obraz terenu, jest on jednak niedokładny, uzupełnić go więc trzeba rekonesansami, a zresztą choćbyśmy wybrali i najidealniejszy teren walki, i tak uprzedzić nas w tym kierunku może przeciwnik i tutaj nie mamy pewności działania.

Tak więc wszystkie te trzy czynniki są nieustalone, zmienne, zawisły one od całego szeregu warunków żywych, zmieniających się wciąż jak w kalejdoskopie, a szachownica wojenna nie przemieniła się jeszcze i nie przemieni się nigdy w przyszłości w zielony stół biurokraty, operującego rzeczami martwymi, dla których łatwo ułożyć dylematy działania.

Regulamin wojskowy nie może ustalać dogmatów, wyznacza on co najwyżej najgłówniejsze wytyczne, podług których należy postępować. Jest to jednak regulamin martwy, który w potrzebie zastąpić trzeba regulaminem żywym, o wytycznych zmiennych, zależnych od warunków boju, siły, terenu i czasu.

Nie mechanizacja zatym, lecz samodzielność i wybitna indywidualność odgrywa na polu bitwy pierwszorzędną rolę. Znajomość zasad strategji i taktyki, to rzecz niezbędna, lecz w każdym razie nie najgłówniejsza, gdy idzie o dobrego wodza.

Mechaniczną stronę strategji i taktyki pojmie każdy łatwo, sztukę całą stanowi jednak praktyczne zastosowanie poznanych zasad. O wartości zaś praktycznego ujęcia zasad wojennych stanowią przedewszystkim ogólne cechy wyrobionego człowieka — niewzruszony spokój podczas obserwacji, jasny umysł — żelazna konsekwencja i rzutkość w czynie — zdolność błyskawicznej oceny warunków i błyskawicznego przystosowywania się do nich. — Niezłomna, a płomienna wola posiada według zdania Dragomirowa moc fascynującą, moc, która porywa ogół, i zmusza go nieraz do nadludzkich wprost wysiłków. Z tego wynika, że dobry teoretyk wojenny — człowiek wiedzy może być złym wodzem — człowiekiem czynu. Te dwa typy nie pokrywają się w zupełności i posiadają swoje odrębne cechy — które wódz dobry winien łączyć w sobie.

Cechy te same i zalety zdobić powinny nie tylko wodzów — lecz i każdego żołnierza, ażeby dana grupa mogła marzyć o zwycięstwie. Właśnie wskutek ulepszeń broni palnej musi być dzisiaj żołnierz każdy samodzielnym wojownikiem, żołnierzem — wodzem umiejącym wyzyskać doskonale naturalne warunki boju — a przez to zrobić w całej pełni użytek z broni, którą włada. Kierowanie oddziałem staje się w dzisiejszym zgiełku wojennym iluzją — a wobec tego samodzielność każdego żołnierza ma w starciu z wrogiem nieocenioną wartość. W walce na daleką odległość ta armja zwycięża, której żołnierze opanowali w pierwszym rzędzie znakomicie naukę strzelania.

Skutek dobry walki zależy jednak nie od hojnego szafowania amunicją, lecz od dobrego strzelania. Ażeby zaś żołnierze mogli dobrze strzelać, muszą w największym niebezpieczeństwie zachować zimną krew, ułatwiającą im orjentację w krytycznej chwili, samodzielną ocenę skutków ognia własnego i ognia przeciwnika, ażeby w razie potrzeby wprowadzić ewentualnie potrzebne poprawki. Jednym słowem umiejętne prowadzenie ognia przechodzi w wysokim stopniu już na wielkich odległościach na barki pojedynczego żołnierza. Stopniuje się to wraz ze skracaniem przestrzeni, dzielącej go od przeciwnika, aż do impetycznego, zależnego już w zupełności od brawury pojedynczych ludzi, starcia się piersią o pierś, które do dnia dzisiejszego pozostało ową *ultima ratio*, rozstrzygającą o wyniku walki. Zdecydowanego przeciwnika nie wyprze bowiem walka prowadzona na odległość.

Tak więc nowoczesna szkoła wojskowa nie może być tylko szkołą musztry, lecz powinna być zarazem szkołą charakterów i dyscypliny, szkołą wychowania fizycznego i taktycznego. Sprawność techniczno-wojskowa nie jest ich wyłącznym celem. Wyrabiać ona winna w wychowankach swoich wszystkie te cnoty żołnierskie, o których poprzednio wspomniałem, a które decydują i w dzisiejszych warunkach o powodzeniu, lub niepowodzeniu akcji zbrojnej.

Zasady te uszanowano i pielęgnowano troskliwie w Japonji. Japończyk każdy jest urodzonym wojownikiem. Miłość Ojczyzny wyssaną z piersi matki potęguje później przez umiłowanie rodzimego kraju w niebywałym wprost stopniu. Od dawien dawna, a także i dzisiaj pomimo zeuropeizowania się Japonji stawiano tam na pierwszym planie wychowania młodzieży kształcenie charakteru, na drugim dopiero rozwój inteligiencji. W młodym chłopcu kształcą przedewszystkim cnoty

rycerskie, a więc odwagę, silną i konsekwentną wolę, żywość i samodzielność, prawdomowność i wysokie poczucie obowiązku i honoru, karność i zręczność fizyczną. Małemu chłopięciu powtarzają tam jeszcze wciąż średniowieczną formułę: „powinieneś mężnie ledz śmiercią u boku swego pana, nie odwracając się nigdy plecyma do swego wroga". I średniowieczny i dzisiejszy Samuraj japoński był i jest przedewszystkiem mężem czynu. W religji, filozofji, czy pięknej literaturze szukał on i chłonął przedewszystkiem te pierwiastki, które mu dopomagały do kształtowania się charakteru, lub mogły mu służyć przy rozwiązywaniu politycznych i wojskowych problemów.

Taki system wychowania wytworzył z czasem u większości narodu japońskiego niezwykły hart ducha, który pozwala Japończykom znosić bez jęku największe cierpienia, a podczas smutku zachować wobec swego towarzysza wrodzoną sobie uprzejmość. Nadały one duszy narodowej piętno niewzruszonego żadnym nieszczęściem stoicyzmu.

Tak przygotowani wystąpili Japończycy w ostatniej wojnie na dziejową widownię, by swymi czynami śmiałymi udowodnić całemu światu, że i przy dzisiejszych sposobach i środkach walki przewaga liczebna nie rozstrzyga jeszcze o przegranej, lub zwycięstwie. Dzięki Japończykom wpływy i siły moralne odniosły w tej wojnie stanowczy tryumf nad materjalnymi. Rzut oka na ustosunkowanie się sił przeciwników w ostatniej rozprawie pod Mukdenem przekona nas o słuszności tego zdania. Marszałek Oyama zaatakował pod Mukdenem silnie okopanego i ufortyfikowanego wroga, rozporządzając 300000 ludźmi, 892 działami polnymi i górskimi, 170 działami ciężkimi i 200 maszynowymi karabinami — przeciwko 310000 ludzi, 1100 działom polowym, 250 ciężkim i 88 karabinom maszynowym.

Jeżeli uwzględnimy w danym wypadku naturalną przewagę Rosjan, ukrytych w silnych pozycjach obronnych, które posiadają odtrącającą wprost siłę, tak, że dotychczasowe reguły taktyczne pozwalały tylko wtedy na atak na przeciwnika okopanego, jeżeli się miało nad nim znakomitą wprost przewagę liczebną, musimy natenczas spojrzeć z podziwem na przedsięwzięcie Oyamy. Wielkości tego przedsięwzięcia nie zmniejsza świadomość ujemnych stron taktyki rosyjskiej, którą Japończycy poznali już w pierwszej nad rzeką Jalu potyczce, przy pomocy rozmaitych celowych zabiegów strategicznych.

Nie chciałbym być fałszywie zrozumianym. Nie chciałbym przeto, by ze słów niniejszych wyczytano lekceważenie przewagi liczebnej przeciwnika i przecenianie wartości sił materjalnych. Owszem pamiętać trzeba o tym, że historja wojen podaje nam cały szereg bitew, o których wyniku rozstrzygała przewaga liczebna przeciwnika. Nie należy jednak ulegać fascynującemu wpływowi tej zasady; a dobrze jest wiedzieć także o tym, że bywało bardzo często odwrotnie i że istnieje cały szereg potyczek wygranych przez materjalnie słabszego przeciwnika, dzięki indywidualnym cnotom rycerskim, które zdobiły wodzów i żołnierzy zwycięzkiej armji.

Szczególnie zaś my, Polacy, powinniśmy tym uważniej wziąć pod uwagę te przykłady, im bardziej zdemoralizowaną jest armia głównego naszego wroga, im więcej brak jej moralnego spoidła, a im śmielej marzyć możemy o przebudzeniu się wrodzonych ongi przymiotów naszego charakteru narodowego, który miał być jednym z najbardziej rycerskich w Europie. Więc czas wskrzesić cnoty żołnierskie, które przecież nietylko w boju mają wartość; są to wartości moralne o znaczeniu ogólno-ludzkim, a zbrojnym w nie winien być każdy naród ujarzmiony w codziennej swojej walce o istnienie.



J. JEŻYNA.

DO ŹRÓDEŁ ZBRODNI JASNOGÓRSKICH.

„...Kolego!
„Byłżeś w Arkadji, tej, gdzie Jezuici
„Są barankami? — pasą się — i strzegą
„Psów — i tym żyją, co ząb ich uchwyci
„Na pięcie wieszcza?...."
(Beniowski).

Kiedy okradziono cudowny obraz na Jasnej Górze, z ambon i szpalt prasy klerykalnej rozległ się krzyk, że kradzież jest następstwem rosnących prądów wolnomyślnych i socjalistycznych. We wszystkie dzwony uderzono na alarm przeciw tym prądom „bezbożnym", organizowano którąś z rzędu krucjatę przeciw postępowi.

Dziś gdy okazało się, że w atmosferze, panującej w zakonie Paulinów, atmosferze nie samym tylko Paulinom właściwej, lęgły się najstraszniejsze zbrodnie, gdy się wykryło, że miejscowość historyczna i miljony, przynoszone przez wierzące owieczki pozostawały po pieczą Macochów, zdobywa się kler na czelność przypisania wszelkich zwyrodniałości jaskini jasnogórskiej również wpływowi prądów postępowych. Jezuita ksiądz J. Pawelski wystąpił w „Przeglądzie powszechnym" (dzienniki klerykalne i konserwatywne skwapliwie artykuł przedrukowały) z twierdzeniem, że zbrodnie Paulinów mają źródło w „nihiliźmie etycznym", z którego wyrosły, równocześnie go w społeczeństwie wzmacniając, najpopularniejsze dzieła nowożytnej kultury polskiej, między innymi twórczość Niemojewskiego i Żeromskiego.

Choćby kalumnia była rzucona bezimiennie, niktby się nie pomylił co do autora,

„Ale ja widząc, jak kąsa i szczeka,
„Sądzę, że jezuita..."

Mimo wielkiego zacofania umysłowego w Polsce, przecież w żadnej korporacji nie znalazłoby się na tyle zuchwałości i cynizmu. Jeśli nie zrozumienie

głęboko etycznych pierwiastków twórczości Żeromskiego, to przynajmniej jakieś instynktowne odczucie ich znaczenia dla narodu w chwili dzisiejszej, przynajmniej jakaś duma narodowa, poszanowanie dla samych siebie, nie pozwoliłyby przeciętnemu Polakowi na zestawianie zbrodniczego mnicha z świecznikami kultury polskiej. Tylko jeden z tych, którzy jak upiory ssali przez stulecia serdeczną krew z organizmu polskiego, którzy w wieku XVII. zatruli ducha polskiego, sprowadzając rozkład nań moralny i umysłowy, tylko jeden z tych, którzy po pierwszym rozbiorze w Połocku wystosowywali hołdy wiernopoddańcze i najpokorniejsze podziękowanie za rozbiór carycy Katarzynie, tylko jezuita mógł w tak brutalny sposób targnąć się na dorobek odradzającej się Polski.

Za ubliżenie poczytywalibyśmy sobie chęć polemizowania z jedną z największych kalumnji pod adresem polskości, jaka padła kiedykolwiek w mowie polskiej. Jedynie tylko parę drogowskazów postawimy temu, „co kąsa i szczeka", poszukując przyczyn zwyrodnienia Macochów.

Gdzież wasz jasnogórski Pochroń (daruj Pochroniu, że cię zestawiam z Macochem!) mógł szukać wzorów dla swoich zbrodni?

Spojrzmyż, ojcze Pawelski, nieco w siebie, a nieco poza siebie.

Oto mógł się ojciec Damazy kształcić na postaci opasłego rozpustnika biskupa Zawiszy z Kurozwęk, z w. XIV., który r. 1382. w Dobrowodzie nocą po drabinie za dziewczyną goniąc, kark skręcił.

Mógł znaleźć wzory w atmosferze obyczajowej kleru z przełomu średniowiecza, kiedy to nabożna wieszczka krakowska powędrowawszy — według opowieści kronikarza — na odpust jubileuszowy do Rzymu, tam służyła jako naczynie duchowne świątobliwym kardynałom, a w następstwie pierwsza zawlokła do Polski syfilis, na który jeden z pierwszych zmarł kardynał Fryderyk.

Mógł się zapatrzeć na biskupa krakowskiego z XVI. w. Andrzeja Zebrzydowskiego, który wizytując djecezję, woził stale za sobą kilka pojazdów nierządnic, a który celebrując wywołał odrazę u wiernych ciałem, gnijącym z rozpusty.

Mógł się napawać wesołą atmosferą kleru z w. XVI., który sobie ulegalizował najwybredniejsze wybryki rozpustne i nawet osobne statuty dla stowarzyszenia rozwiązłych ułożył (Pstrokoński).

I tak dalej poprzez wieki aż po dzień dzisiejszy cytować możnaby nieskończoną litanję wzorów moralnego życia i czystości dla jasnogórskich Paulinów, wzorów czerpanych z życia świeczników kleru polskiego. Tam patrz, ojcze Pawelski, za źródłami charakteru i postępków ojców Macochów!

A jeśliś ciekaw, ojcze Pawelski, gdzie zrodziła się krwiożerczość mnicha, w jakiej atmosferze nauczył on się lekceważyć życie bliźniego, to przejdź myślą dzieje tych twoich praojców klasztornych, którzy w Polsce szerzyli nieznaną przedtym zajadłość, nietolerancję, ośmielającą do mordowania bliźnich innej wiary i odmiennych przekonań. Zwróć oczy na gwiazdę jezuityzmu polskiego, ojca Piotra Skargę, który podburzał motłoch ciemny i żaki krakowskie do burzenia świątyń innej wiary, pochwalał wywlekanie trupów z grobu, rozbijanie sklepów jubilerskich i wzywał na heretyków „ogieńka". Szukaj śladów miłości i poszanowania życia bliźniego u inkwizytorów polskich wieku XIII., którzy wierzącemu katolikowi na podstawie interesownej denuncjacji kazali wyrywać język, odcinać ręce, przypiekać ciało kleszczami rozpalonymi, wreszcie w płomieniach na stosie ułatwiać kadłubowi wstęp do życia pozagrobowego...

A jeśli, ojcze Pawelski, domyślasz się, że „rosyjski" nihilizm etyczny wsączony został w Macochów jasno- i niejasnogórskich przez młodą literaturę polską, to ci pokażemy, że Macochy nie potrzebują drogą literatury, której nie czytają i którą z ambon wyklinają, napawać się rosyjskimi nihilizmami, bo na kartach dziejów własnego waszego kleru znajdą, od stulecia z górą, gromadę osobników, które, wiedzione chciwością grosza i chęcią użycia, przesiąknięte były ową „rosyjskością" i obładowane rosyjskimi rublami w dodatku.

Chciwość Macocha miała przodka w biskupie M a s s a l s k i m, płatnym zauszniku Rosji, który w straszny sposób okradł Komisję Edukacyjną, w biskupie P o d o s k i m, jawnym ajencie Repnina, w prymasie Michale P o n i a t o w s k i m, którego tylko szybkie zażycie trucizny uratowało od zasłużonej szubienicy, w biskupach O s t r o w s k i m, K o s s a k o w s k i m, M ł o d z i e j o w s k i m, którzy pobierali regularne pensje od rządu rosyjskiego itd. itd.

Może ta skromna wiązanka historycznych faktów wystarczy na razie dla zwrócenia uwagi księdza jezuity Pawelskiego, gdzie ma się doszukiwać protoplastów macochowej krwiożerczości, chciwości, rozwiązłości...

Jeżeli nie, to sięgniemy do innych, bliższych może. *Medice cura te ipsum!* Niechże z a k o n n i k, nie szuka przyczyn zbrodni z a k o n n i k ó w w „duchu czasu", tak namiętnie przez kler wyklinanym, ale raczej w atmosferze, w jakiej żyło duchowieństwo polskie, tak świeckie jak klasztorne, a wierzę, że prędzej się mu wyjaśnią czyny macochowe.

Z TYGODNIA.

O PRAWO POLSKIEGO PIEMONTU, Krakowski przyjaciel dzisiejszych Królestwa Polskiego panów, policmajster Flatau, nie spodziewał się może, że czyny jego przejdą do historji. W ogólności nie obliczył on zgoła doniosłości swych czynów. Uwięził młodych Królewiaków, śniących o rycerskiej szpadzie — i oto cała Polska młoda oświadcza się jednomyślną z nimi i „spiskującą" jak oni. Wydaleniem zagroził Limanowskiemu, święcenia jego jubileuszu chciał zabronić — i oto cała niemal polska prasa (w liczbie jej „Głos Narodu", „Nowa Reforma" „Słowo Polskie") ugięła czoła przed sędziwym rewolucjonistą-patryjotą. Flatau strzela — Pan Bóg kule nosi. Krakowskie szykany zagwarantowały jubileuszowi Limanowskiego, że będzie on powszechnym świętem polskiej demokracji.

We Lwowie odbył się wiec polskiej młodzieży akademickiej. Ogół młodzieży postępowej (nawskróś dzisiaj przeniknięty patryjotyzmem) oraz młodzież t. zw. narodowo-niepodległościowa (wyzwolona z pod kurateli ND-ckiej), złączyły się w energicznym proteście przeciw rosyjskim rządom w Galicji, manifestując sympatję dla uwięzionych, cześć dla Limanowskiego. Żywiołowo, z poza szeregów zorganizowanych grup ideowych, pojawiła się myśl strejku manifestacyjnego. Wybrany komitet prowadzi akcję przygotowawczą, Uzyskano akces młodzieży innych narodowości. W Krakowie wrzenie silniejsze jest

jeszcze. Potęguje się ono pod wpływem uchwał sądu, przetrzymującego Królewiaków w więzieniu dyktującego wreszcie za nich ogromne kaucje.

Tak młodzież. Na wiecu obywatelskim w sprawie drożyzny i reformy sejmowej, dwaj mowcy, p. Bourdon i poseł Diamand, poruszyli wśród frenetycznych oklasków sprawę Limanowskiego. Biczem niezrównanej ironji smagał poseł socjalistyczny politykę obecną rządu krajowego, ów renesans konserwatyzmu, kulminujący w szykanowaniu dra Janika, uwięzieniu Królewiaków, znieważeniu Limanowskiego. Gdy zaś przedstawiciel władzy sprzeciwiał się traktowaniu sprawy, nie będącej na porządku dziennym, zgromadzeni podnieśli się jak jeden mąż, zagrzmiały okrzyki: Niech żyje Limanowski!

Na wiecu młodzieży wzywał Gustaw Daniłowski, by ogół na znak protestu przeciw policyjnym zakazom jak najgorętszy wziął udział w obchodzie ku czci weterana demokracji polskiej. I tak się stanie. Czcigodnemu banicie chwały przymnożył pan Flatan.

O REFORMĘ WYBORCZĄ W GMINIE. Dnia 20. października, gdy na lwowskim rynku zebrały się tłumy robotników, domagając się praw obywatelskich od swego kraju i swej gminy, Rada miejska rozpoczynała debaty nad wnioskiem nagłym Klubu reformy, naznaczającym komisji termin ośmiodniowy na przygotowanie projektu ustawy i przełożenie go Radzie. Chcieli szczerzy demokraci, by nowa ordynacja mogła jeszcze w ciągu obecnej sesji sejmu uzyskać jego zgodę. Sądzili, że pozycja przedstawicieli stolicy w sejmie silną się stanie wtedy, gdy będą oni mogli powołać się na świeży czyn we własnym dopełniony domu. Nagłość reformy uchwaliła Rada. Do wniosku Klubu reformy wprowadziła jednak większość poprawkę: przedłużono termin do do dni czternastu, uniemożliwiając tym samym załatwienie sprawy przez obradujący obecnie sejm krajowy.

Subkomitet ustalił już zasady reformy, mimo kompromisowego jej charakteru, nacechowane duchem postępu i odbijające dodatnio od nędzy kompromisowych projektów w sejmie. Więc kurja głosowania „powszechnego", ograniczonego coprawda przez cenzus inteligoncji i wysoki cenzus osiedlenia mieć ma mandatów 20 — bez względnie zatym dwa razy, względnie kilka razy więcej, niż przypuszczalna kurja powszechna w sejmie; równouprawnienie kobiet niemal zupełne (wybieralność ograniczona dla grona dotąd uprawnionych kóbiet wyborców). Bezideowość t. zw. lwowskiej demokracji nie pozwoliła na śmiały krok naprzód — na zerwanie z systemem kurjalnym.

Jakkolwiekbądź odbiega projekt subkomitetu od zasad demokratycznych, mógłby on przecież godnie być rzucony jako wyzwanie przed sejmującą reakcję. Panowie radni woleli zwlec. Woleli zaasekurować sobie jedne jeszcze wybory starą modą. Niech potop poczeka lat trzy.

SPRAWA KANAŁÓW. Ekscelencja Biliński zjechał do Lwowa konferować z klubami sejmowymi w kwestji — nie budowania dróg wodnych. Właściwie treść konferencji nader była prosta. „Możecie rząd obalić — powiedział do posłów lewicy — lecz nie możecie go zmusić, by zrobił rzecz, na którą niema pieniędzy". Miał czelność to rzec pan minister o prawomocnej uchwale parlamentu, sankcjonowanej przez monarchę. Na każde natomiast żądanie militaryzmu pieniądze się znajdują, choćby z jawnym pogwałceniem norm konstytucyjnych i z pominięciem parlamentów! Klub lewicy i klub centrum uchwaliły obstawać przy wykonaniu ustawy z r. 1901 zwłaszcza odnośnie do Galicji. Prawica poszła na „kompromisy". Pan Biliński wyjechał ze Lwowa z mocnym przeświadczeniem, że kanałów nie bedzie a rząd trwać będzie dalej... Najmici jego z „Gazety powszechnej" (codzienny organ Stapińskiego) błotem zapłaconego szyderstwa usiłują zaszargać kwestję, która jest kwestją odrodzenia się gospodarczego Galicji. Bo też przy ogólnej drożyźnie, jaka panuje w Galicji, jeden artykuł pozostał tani i wciąż jeszcze w cenie opada, i to taki artykuł, którego djabelnie jest mało: wierność przekonaniom, czyli polityczne sumienie...

(g) REPRESJE, jakie nastąpiły w ciągu mies. września (st. st.). systematyzuje w swej statystyce gaz. „Riecz". Statystyka ta przedstawia się, jak poniżej: Grzywien prasowych zanotowały pisma ogółem 26, w sumie łącznej, 5000 rb. Skazane były: „Posliednija Nowosti" — rb. 100, „Kijewskaja Poczta" — rb. 100, „Kurjer Poranny" — rb. 100; „Utro Warszawy" — rb. 100, Kurjer Warszawski" — rb. 200, „Biessarabskaja Żiźń" rb: 300, „Russkoje Słowo" dwukrotnie rb. 1000 „Odiesskija Nowosti" — rb. 500, „Kijewskija Wiesti" — rb. 100, „Nowa Gazeta" — rb. 100, „Plaovalekt" — rb. 300, „Młot" — rb. 100, „Kronika Sandomierska" — rb. 100, „Minskij Gołos" — rb. 300, „Estonckaja Gazieta" — rb. 50. „Utro Rosji" rb, 100, „Pottimes" rb. 100, „Jużnaja Zaria" — rb. 200, „Sibirskaja Żiźń" — rb. 300. „Ziarno" — rb. 50, „Nowyj Wschód" — rb. 300, „Łodzinskaja Myśl" — rb. 100. „Jaunedeonas Lapa" — rb. 100, wreszcie „Mucha" skazana została na rb. 200 grzywien.

W Kijowie skutkiem ciągłych represji zawieszono wydawnictwo gazety „Ogni". W redakcji „Lodzer Ztg." dokonano rewizji. — Skonfiskowano numery gazet: „Rul", „Łodzinskaja Myśl". „Wileńskij Gołos", „Sowremiennoje Słowo", „Trubadur" i inne. Ogółem w ciągu 9 miesięcy r. b. skazano redakcje w 152 wypadkach na sumę łączną 40.850 rb. grzywien.

Pozatym w gub. petersburskiej zamknięto stowarzyszenia obywateli i wyborców w pow. petersburskim, carskosielskim i szlisselburskim. W Warszawie odmówiono legalizacji towarzystwom szerzenia oświaty śród robotników, zamknięto Związek robotników przemysłu drzewnego i Związek stolarzy, wreszcie zawieszono wykłady w Tow. kursów naukowych. W Jekaterynosławiu zamknięto stowarzyszenia robotników metalurgów, związek techników górniczych, stowarzyszenie pracowników handlowych, kółko dramatyczne, kasę pożyczkową oszczędnościową pracowników zakładów donieckich oraz kasę żydowską na wypadek śmierci; tam też nie zalegalizowano stowarzyszenia pracowników handlowych południa Rosji. W Odessie zamknięto niemieckie stowarzyszenie oświatowe. W Rydze zawieszono działalność Towarzystwa kultury łotewskiej i stowarzyszenia walczącego z pijaństwem. W Wierchniednieprowsku zesłano administracyjnie członków zarządu Stow. subjektów. W Łodzi nie zalegalizowano sekcji T-wa hygienicznego. W Hruszówce zamknięto kółko rolnicze. W Wilnie nie pozwolono na przedstawienie w języku żydowskim. Na Krymie zamknięto wszystkie szkoły tatarskie, ponieważ administracja nie pozwoliła na wykłady w języku ojczystym uczniów.

Garść tych danych polecamy uwadze upartych polityków naszych, którzy twierdzą, iż pokojowy kulturalny rozwój jest jedynym możliwym i wystarczającym środkiem na usunięcie w caracie wszelkich dolegliwości narodowych, politycznych i społecznych.

WIELKI KONCERT LUDOWY KU CZCI SZOPENA. Setna rocznica urodzin Fryderyka Szopena daje sposobność do zbiorowej, niebywałej manifestacji ku czci nieśmiertelnego Mistrza tonów, jednego z największych gienjuszów narodu. Przed paru dniami złożył Mu hołd w naszym grodzie wielki zjazd twórców i wirtuozów muzyki polskiej z J. I. Paderewskim na czele. Chwałą Szopena brzmiała przez kilka wieczorów sala Filharmonii. Cała elita umysłowa i spo-

łeczna poić się będzie cudną muzyką Wieszcza-czarodzieja,

Lecz świetny ten obchód, ten arystokratyczny *festival* Szopenowski to jeszcze niezupełna cześć dla gienjalnego poety tonów, to jeszcze połowiczny hołd dla nieśmiertelnego piewcy duszy polskiej. Fryderyk Szopen jest nietylko arcynarodowym — jest także arcyludowym wyrazicielem naszej duszy zbiorowej. Jego mistrzynią jest owa niepocieszona płaczka mogił rycerskich narodu, owa Arka Przymierza między dawnymi a nowymi laty, Pieśń gminna. On wyśpiewał bole, ukochania i tęsknoty miljonów — ma też prawo wejść w każde serce polskie i zamieszkać w nim na wieki. Muzyki Szopena czekają z upragnieniem miljony spracowanych i smutnych, miljony przygniecionych ciężkim jarzmem życia: rzesze robocze i siermiężne, dla których pieśń jedyną osłodą i ukojeniem...

Muzyka Szopena nawskróś swojska, rodzima, muzyka ta arcyludowa, co nieświadomie gra i snuje się w każdym sercu polskim, winna zdobyć rząd dusz i królować miljonom. Niech wieszczym melodjom, granym w pałacach, zawtóruje jędrne świeże echo z chat i zagonów. Niechże w zimowe wieczory prządka zanuci przy pracy czarowną, serdeczną pieśń Szopena, niech w czasie żniw zabrzmią nią pola i chaty, niech niesie się po polach, ta wieszcza, serdeczna pieśń, jak wieczyste zawodzenie wichru. To będzie największy, prawdziwy hołd dla Gienjusza.

Zrozumiał to doniosłe zadanie narodowe Komitet Obchodu Szopenowskiego i pragnąc uprzystępnić wielką muzykę twórcy mazurków szerokim warstwom ludu, urządza dnia 30. b. m. w sali Filharmonii wielki koncert ludowy ku czci Szopena, po cenach popularnych, ze współudziałem najznakomitszych sił artystycznych oraz chórów i orkiestr włościańskich.

W urządzeniu tego koncertu współpracuje z Komitetem „Związek teatrów i chórów włościańskich“ i redakcja „Zorzy Ojczystej“. Koncert rozpocznie słowem wstępnym J. I. Paderewski, a w wykonaniu poszczególnych punktów programu obok sił włościańskich wezmą udział tacy znakomici artyści, jak Melcer, Niewiadomski, Siemaszkowa, że nie wymieniamy innych.



OD REDAKCJI.

Zamieszczony w niniejszym zeszycie nieznany fragment poematu Marji Konopnickiej został nam udzielony przez byłą redakcję „Witezia“. Przeznaczony przez zgasłą poetkę dla tego pisma, nie został tam ogłoszony z powodu przeszkód cenzuralnych.

Zdarzenia publicznej i osobistej natury, tak w ostatnich tygodniach liczne, sprawiły, że szereg artykułów złożonych w tece redakcyjnej nie mógł dotąd się pojawić. Do najbliższych zeszytów odłożyć byliśmy zmuszeni dra Judyma „Rada szkolna krajowa o stanie wychowania publicznego“, M. Dąbrowskiego „Obrazki z Belgji“, J. Kotwicza „Sprawy nauczycielstwa ludowego“, dra Wł. Gumplowicza „Jak Belgja stała się państwem“, dalszy ciąg A. Struga „Mogiłki“.

Autora nadesłanego nam artykułu o „Powszechnej wystawie sztuki polskiej we Lwowie“ prosimy o podanie swego nazwiska.

KSIĄŻKI NADESŁANE: Adam Szymański, Aksinja. Opowiadanie z życia moskiewskiej Lehii. Kraków 1911. — Juljusz Słowacki: Bat'ko zaczumlennych. Perekław Sydir Twerdochlib. Kiiw 1910. — Kap. A. Meyer. Wojna w dobie dzisiejszej. Przeł. M. Markowska. Kraków, „Życie“, 1910. — Materjały do historji P. P. S. i ruchu rewolucyjnego w zaborze rosyjskim 1893—1904. Tom II. 1898—1901. Warszawa, „Życie“, 1911. — Mieczysław Szerer: Kara, szkic socjologiczny. Druk W. L. Anczyca. Kraków. 1910. — Zofja Rogoszówna: Pisklęta. Kraków, „Książka“. — Stanisław Przybyszewski: Szopen a naród. Kraków, „Książka“. — Romuald Minkiewicz: Lucjan. Dramat współczesny i przyszłych pokoleń. Pięć aktów z prologiem. Warszawa, Wende i Spka, 1911. — Wacława Sieroszewskiego: Bajki. Z 50 rycinami. Spka nakł. „Książka“.

„Życie“ wychodzi w każdą sobotę po południu.

Prenumerata wynosi:

	rocznie	półr.	kwart.
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier	20 kor.	10 kor.	5 kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce	6 dol.	3 dol.	1·50 dol.

Cena pojedynczego nru 40 hal.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy lub jego miejsce na 2 i 3 str. okładki 20 hal., na 4 zewnętrznej 30 hal. Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Lwów, ul. Dwernickiego l. 11 A.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 9 do 1 przed południem. Redaktor przyjmuje codziennie między g. 12—1.

Wydawcy: Dr. Aleksander Lisiewicz i inż. Hipolit Śliwiński.
Redaktor naczelny Gustaw Daniłowski.
Redaktor odpowiedzialny Juljusz Łopatka.

